

KATARZYNA KUCZYŃSKA-KOSCHANY

Instytut Filologii Polskiej, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Ściegi i fastrygi

Mirosław Tryczyk: *Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów.*
Warszawa, Wydawnictwo RM, 2015, ss. 499.

Walter Benjamin nigdy nie został doktorem habilitowanym. Został natomiast Walterem Benjaminem. (Zarzucono mu za dużo epigrafów, za dużo cytatów – takie były zastrzeżenia wobec jego rozprawy habilitacyjnej¹). Hannah Arendt napisała habilitację – biografię Rahel Varnhagen². Naruszyła i przekroczyła tym samym naukową normę swoich czasów. Stała się potem – prawdopodobnie – najwybitniejszą, a na pewno najodważniejszą myślicielką XX wieku.

Oczywiście, Mirosław Tryczyk nie jest ani Arendt, ani Benjaminem. To, że dużo (zdaniem krytyków: zbyt dużo) cytuje, bierze się – jak sędzę – z jego zamysłu, by pokazać materię jak najbardziej surową, nieobrobioną. Surowe znaczy okrutne (w innych językach, na przykład w łacinie czy w pochodnych od niej językach romańskich, widać to lepiej), inaczej działa wtedy nasza wyobraźnia, wyobraźnia odbiorców. To, że jest autor *Miast śmierci...* odważny, także nie

¹ Na ten temat zob. A. LIPSZYC: *Alegorie habilitacji, czyli obraz świata w skrócie. Postłowie.* W: W. BENJAMIN: *Źródło dramatu żałobnego w Niemczech.* Przeł. A. KOPACKI. Warszawa 2013, s. 321–343. Lipszyc pisał m.in.: „W związku z frankfurckimi przygodami książki o baroku [tj. odrzuceniem habilitacji – K.K.K.] profesor filozofii Erich Rothacker miał mianowicie oświadczyć: »Nie można habilitować ducha«. Zapewne. Wydaje się jednak, że można go rehabilitować. Od kilkudziesięciu lat pisma Benjaminina – wśród nich zaś nie na ostatnim miejscu *Źródło dramatu żałobnego w Niemczech* – słusznie traktowane jako jedno z jego największych dokonań – mają w świecie akademickim status dzieł klasycznych. Istnieje właściwie cały przemysł benjaminologiczny, produkujący towary czasem znakomite, czasem koślawe, czasem nijakie, a na podstawie prac poświęconych jego myśli nadano już niejedną tytuł doktorski i niejedną habilitację. Wygląda więc na to, że światowa akademia pośmiertnie przyznała Benjaminowi coś, czego odmówiono mu w fatalnym roku 1925: prawo do nauczania” (tamże, s. 331).

² Por. H. ARENDT: *Rahel Varnhagen. Historia życia niemieckiej Żydówki z okresu romantyzmu.* [1957] Z języka niemieckiego przeł. K. LESZCZYŃSKA. Sejny 2012.

ulega – moim zdaniem – wątpliwości. Pokazuje okrucieństwo, bezmyślność, trwogę bez retuszu³ i w tym, co wypadaloby nazwać nadmiarem, gdyby nie to, że ów nadmiar jest doskonale udokumentowany.

Moja teza po lekturze tej książki (tu zgadzam się z mniej przychylnymi krytykami – książki rażącej niestarannością warsztatu) brzmi: Tryczyk postanowił szyć z surowej materii, tylko ze skrawków poświadczonych. A właściwie nie szyć, lecz fastrygować. Ściegi tej książki są grube i miejscami niezdarne, chciałoby się powiedzieć: jak sama tkanina. Bo nie o maestrię wywodu i ważenie niuansów tu chodzi, lecz o skalę, wymiar zbiorowej zbrodni. Być może dlatego autor książki, wrocławski etyk, filozof i nauczyciel (do tych trzech autoidentyfikacji wypadnie powrócić), uparcie polemizuje ze swymi krytykami. Przykładowo, na krytykę Natalii Aleksium zatytułowaną *Zmarnowana szansa*⁴ odpowiada tekstem pt. *Szansę wykorzystałem*⁵. Jest pewny swej racji. W tym sensie zgodzić się trzeba z Zygmuntem Baumanem, który w rekomendacji książki (zamieszczonej w części *Zamiast przedmowy*) pisał:

Mirosław Tryczyk stworzył dzieło wielkie, jakie daremnie czekało od kilkadziesiąt lat na historyków zdolnych a chętnych się jego podjąć. Wielkie, bowiem doniosłe dla przywrócenia świadomości narodowej wiedzy o przeszłości, której brak ciąży na jej teraźniejszości, a przyszłości gorzej jeszcze jej przedłużająca się nieobecność wróży.

s. VII

Podobnie doceniają książkę Tryczyka – ze wszystkimi zastrzeżeniami warsztatowymi, ale też wiedząc, że groza i temperatura badanej materii nie mogą być zbyt skrupulatnie uporządkowane, po aptekarsku (Tryczyk nie śni historycznego snu o czystości) – antropolożka Joanna Tokarska-Bakir czy politolog Piotr Forecki.

Zamysł Tryczyka jest inny niż Jana Tomasa Grossa, choć Grossowi pokrewny, wobec niego komplementarny. Autor *Sąsiadów...* pisze studium przypadku, które staje się wielką *pars pro toto*; autor *Miast śmierci...* natomiast pracowicie gromadzi materię pierwszą, nieobrobioną, niepoddaną redakcji i retuszowi, także miejscami nieczytelną i uzyskuje pewien paradygmat. W ilu miej-

³ Czasami nieporadność mówienia o przemocach w sferach intymnych, najczęściej o gwałtach, jest porażająca dla czytelników, a zwłaszcza dla czytelniczek; Maria S., Żydówka, mieszkanka Jasionówki, opowiada o jednym z Polaków-oprawców: „Następnie dopuszczał się gwałtu na kobietach młodych. Miało to miejsce w Jasionówce, kiedy pod pozorem aresztowania zabrał z pola młodą dziewczynę G. Helę i pod groźbą zmusił do czynu nierządowego. [...] Widziałam, jak oskarżony puścił prowadzoną przez siebie Helę G., i ona mówiła, że ją zgwałcił, a następnie ona po tym zwariowała. Do tego czasu, dopóki oskarżony z nią tak nie postąpił, była ona normalna. Miała ona lat 18” (s. 469).

⁴ „Kultura Liberalna” 2016, nr 3.

⁵ „Kultura Liberalna” 2016, nr 7.

scach było tak samo? – pyta wciąż. Jak bardzo podobne są do siebie okupacyjne „pogromy sąsiedzkie”? To jego kwestia, wypowiedziana w trwającej od ponad piętnastu lat rozmowie o Jedwabnem i pogromach jemu podobnych. Koncepcja książki Tryczyka jest trudna do objęcia, wymyka się – poprzez przemilczenia, strach, złą wolę, ubywanie świadków – całości. Tryczyk czytany po Grossie przygnębia multiplikacją.

Gross tworzy szczególnie neosemantyzm. „Sąsiedzi” znaczą już dziś co innego niż w piosence *Jak dobrze mieć sąsiada...* Mają swą ciemną semantykę. Formuła „pogromy sąsiedzkie” – ciekawy oksymoron – jest myślową konsekwencją tamtego przesunięcia znaczeniowego. Obydwa tytuły fundują zupełnie nowe rejestry w polszczyźnie. Tryczyk proponuje bowiem dostrzegać w mordach odnotowanych w poszczególnych miastach i miasteczkach pogromy, co mnie samej ze względu na skalę nienawiści i szczególne okrucieństwo w zadawaniu śmierci (często połączone z innymi aktami przemocy, przede wszystkim z gwałtami, ale także okaleczaniem zwłok, maltretowaniem dzieci czy zasypywaniem dołów z jeszcze żyjącymi ofiarami – tu pojawia się w relacjach topos ruszającej się ziemi) jest bardzo bliskie. Pisałam o tym również w książce *„Все поэмы жиды“*. *Antytotalitarne gesty poetyckie i kreacyjne wobec Zagłady oraz innych doświadczeń granicznych* (2013) w części pt. *Czytane po Auschwitz, czytane po Jedwabnem*.

Czytając omówienia⁶ wydanej dwa lata temu monografii Mirosława Tryczyka i polemiki wokół niej, zastanawiałam się jednak nieustannie, co wolno, a czego nie wolno, kiedy porusza się temat graniczny, temat-synekdochę polskiej współwiny, polskiego udziału w Zagładzie Żydów i charakteru tego udziału. Czy wolno dywagować? Czy wolno aluzyjnie nawiązywać do Grossa, czyli wielkiej cezury, w tytule? Czy można proponować narrację inną niż dotychczas czynili to w odniesieniu do Jedwabnego i jemu podobnych pogromów historycy (Andrzej Żbikowski, autorzy artykułów zebranych w tomach *Wokół Jedwabnego*, zredagowanych przez Pawła Machcewicza i Krzysztofa Persaka⁷), eseści (Jan Tomasz Gross⁸, Anna Bikont⁹), poeci (na przykład Adam Zagajewski w wierszu *Jedwabne*¹⁰)?

⁶ Ukazały się, co warto odnotować, zarówno w pismach lewicowych („Przegląd Socjalistyczny” 2015, nr 4), liberalnych („Kultura Liberalna” 2016, nr 3), jak i w prasie konserwatywnej („Do Rzeczy” 2015, nr 5; „Myśl Polska” 2015, nr 43–44), zarówno w czasopiśmie publicystycznych („Newsweek” 2015, nr 40), jak i w prasie fachowej („Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2016, nr 12; „Karta” 2015, nr 86; „Karta” 2016, nr 87).

⁷ *Wokół Jedwabnego*. Red. P. MACHCEWICZ, K. PERSAK. T. 1: *Studia*; T. 2: *Dokumenty*. Warszawa 2002.

⁸ Por. J.T. GROSS: *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*. [Wyd. II popr.] Sejny 2000; zob. też TENŻE: *Wokół „Sąsiadów”. Polemiki i wyjaśnienia*. Sejny 2003.

⁹ Por. A. BIKONT: *My z Jedwabnego*. Warszawa 2004. Na ten temat zob. też: J. TOKARSKA-BAKIR: *Wy z Jedwabnego*. W: TAŻ: *Rzeczy mgliste. Eseje i studia*. Wprowadzenie M. JANION. Sejny 2004, s. 191–209.

¹⁰ Zob. A. ZAGAJEWSKI: *Jedwabne*. W: TENŻE: *Anteny*. Kraków 2005, s. 30.

Mam nieodparte wrażenie, że Jedwabne jako szczególna, fantazmatyczna cezura w polskiej pamięci zbiorowej domaga się wielu różnych, niewykluczających się sposobów opisanía. Jednym dość jednego wiersza. Inni głodni są szczegółów faktograficznych. Jeszcze inni poszukują prawdy ludzkich losów. Powstające w Polsce po roku 2000 teksty odpowiadają tym rozmaitym dyskursywnie potrzebom. Różne są drogi do niełatwego przyjęcia wiedzy o Jedwabnem i innych pogromach sąsiedzkich, ponieważ różne są odmiany ludzkiej wrażliwości. Ale to nie oznacza, że te kolejne próby nie powinny podlegać krytycznej lekturze.

Krzysztof Persak w artykule¹¹ opublikowanym w roczniku „Zagłada Żydów” najintensywniej krytykuje Tryczyka. Wykazuje on zasadnicze błędy warsztatowe, których nie powinien popełniać historyk, z najcięższymi zarzutami: powoływaniem się na nieprzeczytane, a podane w bibliografii pozycje¹² i sugestią plagiatu. Postaram się przywołać zasadnicze elementy krytyki Persaka i pokrótce się do nich odnieść.

Już tytuł tego omówienia – *Wydmuszka...* – wydaje się znaczący. Jest to pierwsza odsłona merytorycznej dyskusji, którą recenzent podejmuje z „solidnym wrażeniem” (W, 358), jakie czyni książka licząca prawie 500 stron. Pisze Persak: „[...] udaje poważną, udokumentowaną monografię naukową, a w rzeczywistości jest nieudolnie skonstruowanym kolażem cytatów z chaotycznie dobranych źródeł” (W, 359–360). Pytanie, które pojawia się na początku, jest zasadnicze i zadane w taki sposób, że – skądinąd podobnie jak w przypadku pytań „nadmiernych”, zadawanych przez Tryczyka – domyślamy się odpowiedzi przeczącej: „Czy jest to bogato udokumentowana, odkrywcza i nowatorska monografia historyczna dotychczasowych pogromów Żydów po czerwcu 1941?” (W, 357–358). Podstawą formułowanych przez znawcę tematu zarzutów jest wyłącznie geograficzno-rzeczowy układ tekstu, z dodaniem dwu rozdziałów wstępnych (*Jak pisano historię* oraz *Nacjonalizm w międzywojennej Polsce – szkic z ideologii*), ale bez jakiegokolwiek rozdziału metodologicznego.

Odpowiedziałabym na taki zarzut, że metodologią Tryczyka jest samodzielne podążanie za nieobrobioną materią, tworzywem *in crudo*. I dlatego właśnie, jak Persak (może nieco zbyt) skrupulatnie policzył, tylko 35% tekstu książki to narracja odautorska, a 65% to cytaty ze źródeł. Autor omówienia dodaje, że są one „dowolnie zmieszane” (W, 367). I tu byłabym odmiennego zdania. Samodzielna interpretacja źródeł należy do filozofii tej książki, podobnie jak – tak mi się zdaje – zasada, by cytat drażnił czytelnika odczuciem nadmiaru (o którym to „nadmiarze” przecież wiadomo, że tworzy paradygmat opisywanej zbrodni).

¹¹ K. PERSAK: *Wydmuszka. Lektura krytyczna „Miast śmierci” Mirosława Tryczyka*. „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2016, nr 12, s. 357–374. Dalej: W, wraz z numerem strony.

¹² W, 363: „Prac wymienionych w bibliografii po prostu nie zna, a ich wykaz pełni funkcję ozdobnika, mającego uwiarygodnić naukowy charakter książki”, i jeszcze: „[...] spośród 204 publikacji wymienionych w bibliografii, w tekście pracy zacytowano jedynie 14, czyli mniej niż 7 procent”.

Tryczyk prawdopodobnie myślał o tym, że w większości cytując – i to cytując kwestie przywołane jako nieobrobione naukowo (to jego metoda, powtarzam) – wywoła efekt wielkiego zmęczenia czytelniczego, poczucie przytłoczenia skalą pogromów. W ten sposób lepiej sobie tę czarną serię aktów śmiercionośnej przemocy wyobrażamy.

Persak powtarza po przywoływanych poprzednich recenzentach tomowi Tryczyka zarzuty „nieporadności warsztatowej” i „słabej znajomości realiów epoki”, dystansuje się od empatycznego tonu debaty w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, która odbyła się 10 grudnia 2015 roku, z udziałem Joanny Tokarskiej-Bakir, Wacława Oszejcy, Macieja Kozłowskiego i Zbigniewa Gluzy (moderatorem był Marcin Kącki).

Zarzuty Krzysztofa Persaka są formułowane bezpardonowo, bez założenia dobrej woli autora tekstu: „*Miasta śmierci* to niewiele więcej niż dyletanckie wypisy ze źródeł” (W, 367); „Siłą napędową Tryczyka jest jego ignorancja i dezynwoltura w stawianiu karkołomnych tez” (W, 370). Jednocześnie pojawiają się – mało eleganckie – elementy szantażu własną erudycją. Pisze recenzent: „Na potrzeby niniejszego artykułu przejrzałem 37 tomów akt śledztwa IPN w sprawie zbrodni w Jedwabnem [...], 12 tomów akt śledztwa w sprawie zbrodni w Wąsoszu [...], 3 tomy akt śledztwa w sprawie zbrodni w Bzurach [...] oraz zapoznałem się z obszernym uzasadnieniem postanowienia o umorzenia śledztwa w sprawie zbrodni w Radziłowie [...]” (W, 364).

Można przecież założyć, że Tryczyk pisze pod inny adres niż historycy z IPN-u czy ŻIH-u i że tym adresem jest polskie imaginarium zbiorowe, odbiorca bez historycznego warsztatu, ktoś, kto czytał przedtem Grossa i Bikont, kto próbował uporać się z tym, co Tokarska-Bakir nazwała „obsesją niewinności”¹³. Ja nawet postulowałabym jeszcze bardziej radykalną postawę. Prócz rozdziałów wstępnych książka mogłaby się składać z samych przytoczeń źródeł. To one są – według mojego rozeznania – sednem metody przyjętej przez Mirosława Tryczyka. Stąd inne gatunkowo komponenty towarzyszące cytatom: fotografie polskiej i żydowskiej społeczności, przywołane na sposób asocjacyjny, a nie tylko bezpośrednio kontekstowy, czy fragment poematu Chaima Nachmana Bialika pt. *W mieście pogromu*, zamykający narrację, tworzący swoistą kodę.

Tryczyk ma jedną świetną właściwość, rzadką w przypadku historyków czy innych badaczy: zdaje się bardziej cenić świadectwo, zapis tego/tej, kto był(a) blisko, niż własną koncepcję tego, jak było.

Jedna z pomniejszych hipotez mojej lektury brzmi: Tryczyk jest najbardziej nauczycielem (z zapleczem etyczno-filozoficznym), w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Zadaje zatem pytania do gotowych odpowiedzi. Te pytania tworzą warstwę hipertrofii tekstu i irytacji, szczególnie u nieco bardziej wykształconego, przygotowanego czytelnika. Już rozpoznajemy paradygmat, już wiemy,

¹³ J. TOKARSKA-BAKIR: *Obsesja niewinności*. W: TAŻ: *Rzeczy mgliste...*, s. 13–22.

że nie będzie inaczej: Polacy w kolejnych miastach będą gwałcić Żydówki, palić żywcem w stodołach Żydów, zasypywać półżywych w dołach śmierci, ścigać, donosić, i już wiemy, że usłyszymy to od świadków i od cudem czy przypadkiem ocalałych. A jednak – jak w heurzezie ze złego snu – autor z uporem powtarza pytania (zapisane celowo inną czcionką, innym kolorem), których mówiący (zeznający) nie słyszą i na które my z góry znamy odpowiedź: a czy tam też zabijali? A czy tam też gwałcili? Irytacja miesza się w poetyce odbioru z niedowierzaniem, szukamy jakiegoś miejsca, gdzie było inaczej, gdzie nie spełnia się przerażająca reguła. Najczęściej daremnie.

Znajdujemy natomiast podczas lektury rzeczy bezcenne i piszę to jako osoba, która przeczytała większość świadectw na temat Jedwabnego, także jawnie antysemickich¹⁴ (w tym sensie – jak sądzę z goryczą – o wiele bardziej szkodliwych niż warsztatowe spotkania Tryczyka). Przywołam kilka z takich moich – dzięki Tryczykowi i jego zasadzie cytowania źródeł *in crudo* – czytelniczych znalezisk.

Tryczyk na przykład nie rezygnuje z powtórzeń. Wie, że my wiemy, kto to jest Szmul W. z Jedwabnego. Ale on, ów świadek pierwszy, koronny, wypowiada również zwyczajne zdania w swej straszliwej opowieści: „Natka B. zginęła z dzieckiem na rękę. Polacy zabili jej dziecko. Ośmiu gestapowców było obecnych. Nie mordowali” (s. 133). Czasem te powtórzenia to uprawomocnienie narracji (na przykład słowo „pogrom” lub „rzeź” powtarza się w wielu świadectwach), a czasem wiarygodność formuł trudnych do przyswojenia („polscy oprawcy”).

Są świadectwa tak wstrząsające, że sam opowiadający nie jest w stanie mówić. Tak jest z relacją Polaka, Leona D., mieszkańca wsi Przestrzele w gminie Jedwabne:

W stodole zobaczyłem, że w zasięgu ze strony wschodniej oraz na klepisku pośrodku stodoły zwłoki są bardzo spalone. Widać było to głowę, to nogę, a reszta to był popiół, no szczątki ludzkie takie częściowo niedopalone. [...]

Natomiast w zachodnim zasięgu stała cała góra ludzi, masa zabitego narodu. Małe, duże, dzieci, dorośli. To było pokrzyżowane, cały tłum. Trupy stały, leżały, to kłębowisko miało na półtora – dwa metry wysokości. Na wierzchu byli popaleni, a głębiej nawet nienaruszeni ogniem. Nie dało się ruszyć, tak pokrzyżowani byli. Nie dało się rozerwać. My powiedzieliśmy to żandarmom. Oni kazali ludziom z Jedwabnego przywieźć widły i kulasy, takie widły z zakrzywionymi zębami. Zaczęliśmy wbijać te widły i te kulasy w to kłębowisko i rwać – nogi, głowy, jak popadło. Wrzucaliśmy do dołu, który wcześniej po przyjeździe wykopaliliśmy wzdłuż zachodniego sąsiedku. Był to rów do dwóch metrów głęboki i szeroki na gdzieś półtora metra. On był długo tak jak zasiek. Jak wspomnę to rwanie ludzi, to aż mnie serce boli [...].

[...] płacze

¹⁴ Przykładowo: H. PAJĄK: *Jedwabne geszefty*. Lublin 2001; W. MOSZKOWSKI: *Jedwabnym szlakiem kłamstw. Rozmowa z Leszkiem Żebrowskim*. „Nasz Dziennik” z 31 marca–1 kwietnia 2001 r., s. 1, 14–15.

Tam były pomordowane małe dzieci, z matkami. Tyle ludzi zabić, zagnać do ognia, w taki sposób. Pamiętam takie zdarzenie, że przy końcu tej roboty to starsi ludzie kazali nam młodszym spychać do rowu resztki z tych ludzi, co zostały, to nogę, to wątrobę.

s. 137–138

Obraz stojących trupów i rozdzierania ciał widłami zostaje na zawsze w kimś, kto to zobaczył jako uczestnik, a zobaczy także każdy, kto przeczyta opowieść płaczącego.

* * *

Spotkanie z książką Mirosława Tryczyka rozpoczyna się od okładki i do tej okładki powraca się, już o wiele bardziej świadomie, po lekturze. Projekt Tomasa Bogusławskiego jest semiotyczny i to w taki sposób, by nie powstawała wątpliwość w żadnym, urodzonym w Polsce i wyposażonym symbolicznie przez polską szkołę czytelniku. Tytuł i podtytuł odpowiadają kolorystycznie barwom polskiej flagi; jednocześnie „miasta śmierci”, zapisane białą czcionką, są emblematycznie kośćmi, a „sąsiedzkie pogromy Żydów”, czerwone, są krwią tych rzezi. Tło jest czarne, żałobne. Najciekawiej znaczy jednak domek, zrobiony jakby z dykty (zatem nietrwały, tymczasowy, prowizoryczny), oderwany z jednego ramienia ogromnej gwiazdy Dawida (zajmującej większą część okładki), w której to gwieździe zostaje płot, wyrwa po domostwie. Po stronie oderwanego domku, niewielkiego i nakreślonego niejako dziecięcą ręką (wielki dach, dwa okienka), zostaje czarny, żałobny negatyw płotu. Ta znakomita semantyka i jednocześnie semiotyka graficzna każą lepiej rozumieć formułę „sąsiedzkie pogromy Żydów”: zabito sąsiadów, których nigdy nie uznano za prawowitych domowników, zabito Żydów (czyli nie-mieszkańców, nie-tutejszych), zabito na sposób pogromowy, czyli gwałtownie, z pasją, kompulsywnie.

I tu pojawia się pytanie: czy można o tym pisać skrupulatnie, czy można układać, zgodnie z założoną taksonomią, szeregować i problematyzować tę nienawiść, dla której dogodną osłonę stworzyły wojna i okupacja oraz nazistowskie zaproszenie do rozwiązania tzw. kwestii żydowskiej, z którego skorzystali zarówno zastraszeni, jak i okrutni (często ci sami)?

Na zakończenie napiszę najzupełniej uczciwie: czytając (bardzo długo, wiele tygodni) książkę Mirosława Tryczyka, byłam, czasem na sąsiadujących ze sobą stronach, raz poruszona, raz poirytowana. Poirytowana najczęściej jako polonistka nonszalancją warsztatową, natrętnym miejscami dydaktyzmem. Poruszona jako czytelniczka, której czasem myliły się, w zgrozie lektury, znaczenia. Gdy pierwszy raz przeczytałam zdanie Kahaua Awigdora N., żydowskiego mieszkańca Wizny: „A ja skryłem się z werandy w życie” (s. 117), zmyliły mnie równobrzmiące miejscownik rzeczownika „żyto” i biernik rzeczownika „życie”. Naprawdę, pierwszy raz czytając tę frazę, nie pomyślałam o gatunku zboża.

Pomyślałam, że ci, którzy we wszystkich miastach śmierci szukali, najczęściej niemożliwego, schronienia, próbowali skryć się – dokąd? – w życie, czyli w najbardziej niebywałe podczas Zagłady i jej pogromów przeciwieństwo śmierci.

Słowem, pisząc o grubych i niezdeptanych (jak powinno to dziać się w eleganckim krawiectwie) fastrygach narracyjnych *Miast śmierci...*, chciałam – w czasopiśmie „Narracje o Zagładzie” – upomnieć się o prawo do różnych narracji po-Jedwabieńskich czy też po-sąsiedzko-pogromowych. Nie twierdzę, że taki właśnie rodzaj szycia to mój ulubiony. Ale tu się szyje ze skrawków prawdziwych, rzeczywiście odnalezionych, a nie przykrojonych wtórnie do gotowego fasonu, na przykład do istniejącego już modelu narracji historiograficznej.

Katarzyna Kuczyńska-Koschany

Stiches and Tacks

Mirosław Tryczyk: *Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów*.
Warszawa, Wydawnictwo RM, 2015, ss. 499.

Summary

The purpose of this paper, a context-oriented presentation of Mirosław Tryczyk *Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów*, is twofold. Firstly, it endeavours to collect and classify various responses the reviewed book has provoked: reviews, polemics, and criticism. Secondly, it proposes its own reading granting Tryczyk with the authorial right to present his own, even if diverging, type of narration. Moreover, it includes the traces of the post-Holocaust slips of the tongue, significant and eye-opening themselves (“And I have fled from the porch to life” [the homonym “życie” might mean both “rye” and “life,” although in different grammatical cases]). Finally, it refers to the cover and its significance, and the “excess” of death, repetitions, which deprive of hope and overwhelm the reader.